

## PIERWSZY DZIEŃ W POZNANIU...

KARTKA Z PAMIĘTNIKA BOGDANA ZAKRZEWSKIEGO<sup>1</sup>

*Wróciłem via dom rodzinny do Poznania, mojego uniwersyteckiego miasta, i zamieszkałem w tym samym pokoju, co podczas studiów polonistycznych. Stara pani X. dawała lekcje fortepianu, a z obawy przed rabusiami zawiesiła tę samą wizytówkę: Jan Drągalski, bokser. Pierwszy dzień był dla mnie fatalny. Wieczorem, gdy przechodziłem koło gmachu uniwersyteckiego, zarekwirovano mnie do grzebania poległych. A że miałem na nogach tak zwane oficerki, kazano mi zejść do dołu i systematycznie układać zwłoki poległych. Na szczęście był mróz, a więc ciała zamarznęte. Zbliżała się godzina policyjna, dano mi zatem przepustkę do domu, napisaną kopiowym ołówkiem na skrawku oderwanej torebki, że chowałem zmarłych. Ale ten epidemiczny epizod nie był finalny w mej powrotnej drodze. Tuż przed bramą na ulicy Ogrodowej zaczepili mnie dwaj radzieccy żołnierze w kufajkach, ugięci pod ciężarem wiader ze spirytusem. Pytali o drogę do stacji kolejowej, zapraszali mnie, bym się nachylił i zaczerpnął nieco tego trunku. Nie mając ochoty, ofiarowałem się odprowadzić ich ku stacji. [...]*

*Nazajutrz, zupełnie przypadkowo, zderzyłem się z moim profesorem, Romanem Pollakiem. Przyjechał z Częstochowy, chcąc zorientować się w możliwościach odbudowy polonistyki. Zajmowaliśmy przed wojną parter zamku poznańskiego, ale w nim nie było teraz dla nas miejsca. Profesor zaproponował mi funkcję asystenta organizującego polonistykę w sensie „materialnym” oraz opiekuna jego zdewastowanego mieszkania w domu prywatnym przy ul. Libelta. Mieszkanie spustoszone, bez szyb. Zająłem kuchnię z małym pokoikiem. Z korespondencji profesora Witraua [?], Niemca zamieszkującego do niedawna to mieszkanie, dowiedziałem się o adresie jego Instytutu do Badań Wschodnich. Profesor zostawił po sobie listy z oryginalnym podpisem Hitlera. [...]*

---

<sup>1</sup> Fragmenty pamiętnika Bogdana Zakrzewskiego oraz prezentowane dokumenty pochodzą ze zbiorów prywatnych Barbary Surzyńskiej-Zakrzewskiej we Wrocławiu. Wspomnienie Barbary Surzyńskiej-Zakrzewskiej nagrała 19 XII 2013 r. Elżbieta Lijewska. W nagraniu uczestniczyła Aleksandra Solarewicz. Tekst spisała Joanna Andrzejak.



Akademickie Hufce Pracy, 1946.

Fot. ze Zbiorów specjalnych Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu.

*W oględzinach zrujnowanego miasta pierwszeństwo dałem moim osobistym wspomnieniom, a więc salce przy ulicy św. Marcina, gdzie mieściła się żeńska stołówka zamieniona na taneczną salę studencką. Gdy odchyliłem jej drzwi, jak rażony oniemiałem: cała sala wypełniona była książkami, wypełniającymi ją od podłogi po sufit. Palcami wodziłem po grzbietach ciasno upchanych książek i odkryłem swoje na nich napisy. Białym tuszem odręcznie wykaligrafowane. Za każdy taki „grzbiet” książki otrzymywałem 5 groszy, wybierając najcenniejsze tytuły. To była cała przedwojenna biblioteka Katedry Literatury Polskiej. Przeniesienie jej na nowe miejsce do wikarówki [przy św. Michale] w pojedynkę było nie do wykonania. Po moich staraniach wypożyczono mi wózek oraz dwie stare astmatyczne Niemki. Cóż z tego... Zaprzągnąłem się w pojedynkę, a za mną człapały biedne, astmatyczne Niemki, nie bez wdzięcznego spojrzenia.*

*Ten profesorowy [prastary?] zasób wzbogacił się sowicie książkami zgromadzonymi w podziemiach przylegającego kościoła św. Michała, którego część nadziemna wraz z bogatymi zbiorami została zbombardowana i spalona.*



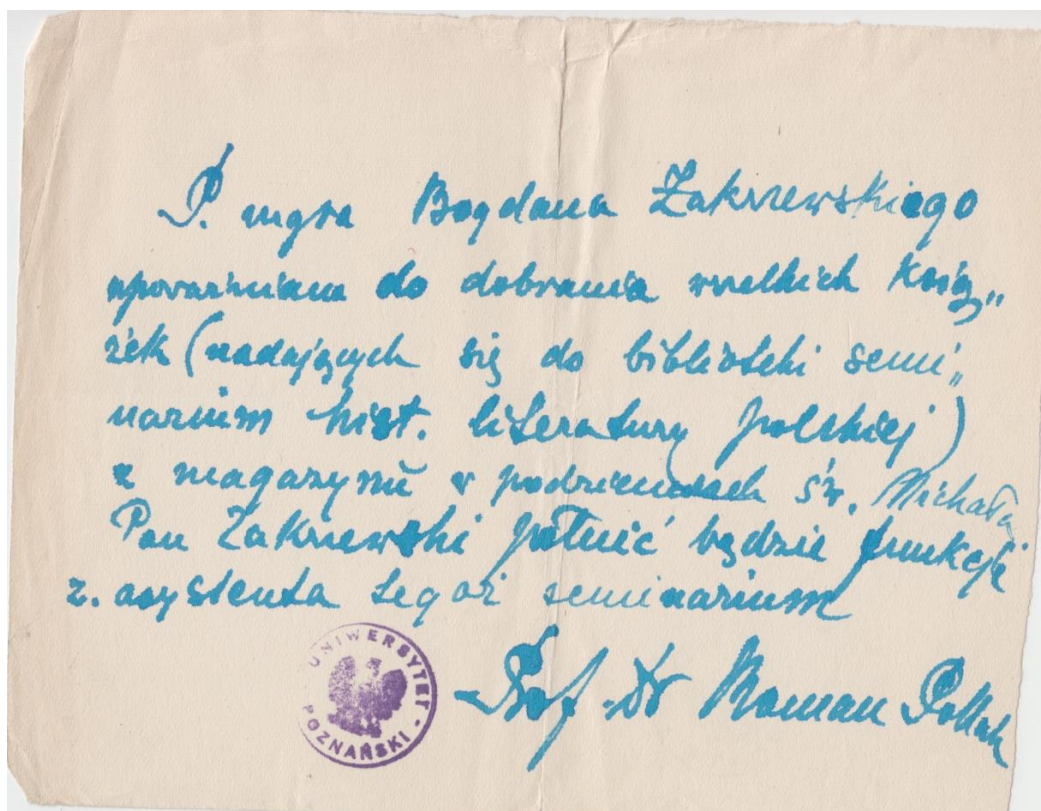
Rok 1945. Magazyn książek w podziemiach kościoła św. Michała Archaniola przy ul. Stolarskiej.  
Ze zbiorów Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

*Tylko na urwisku tego kościoła paliła się nieustannie żarówka, jakby monstrancja, której nie można było zgasić. Natomiast w podziemiach czarna noc i zapach stęchlizny. Pracowaliśmy tutaj do upadłego. Z braku świec i lamp naftowych pomagając sobie płonącymi żagwiami podnosiliśmy całe partie książek do światła, by tu przeprowadzić ich selekcję. Dziś moje barki i ręce coraz mocniej odczuwają ów ciężki, anonimowy trud [...].*

*Nagromadzonym bogactwem dzieliliśmy się, wprowadziliśmy selektywnie, z polonistyką warszawską i wrocławską. Dźwigałem do wagonu paki książek z profesorem Borowym i raz z profesorem Tadeuszem Mikulskim. Ścierając pot z czoła nie przypuszczałem, że książki ofiarowane wrocławskiej polonistyce powędrują również do tego miasta, z którym rodzina żony i moja była tak związana przed pierwszą wojną światową<sup>2</sup>. [...]*

---

<sup>2</sup> [Dopowiedzenie B. Zakrzewskiej:] Mój dziadek, Leon Kaniewski, wysiedlony przed pierwszą wojną światową z Leszna za działalność niepodległościową zostawił taki testament, żeby synów kształcić na uniwersytecie we Wrocławiu, a mamę oddać do urszulanek w Krakowie, żeby tam zdała maturę i przesiąknęła polskością. Także kuzynowie mojej mamy studiowali we Wrocławiu. Jeden z nich, mój ojciec chrzestny, dostał nagrodę za najlepszą pracę z pogranicza prawa i ekonomii. Babcia zawsze mówiła: „uczcie się, bo jak będzie wolna Polska, to będzie potrzebowała mądrych ludzi”. I tak też było. Mój ojciec chrzestny był naczelnym dyrektorem banku przed wojną, Banku Gospodarstwa Krajowego, a drugi kuzyn był wojewodą pomorskim. To była moja rodzina, o której mąż pisze. A matka męża, Józefina z Ratajewskich – to też jest ciekawe – która urodziła się w bardzo patriotycznej rodzinie w Filadelfii, gdy miała szesnaście lat, została wysłana do Wrocławia do urszulanek, na plac Nankiera. Tu skończyła trzyletni kurs języków obcych; to była bardzo dobra szkoła, nauczyciele dostawali po niej najlepsze posady.



Upoważnienie dla Bogdana Zakrzewskiego wystawione przez prof. Romana Pollaka w marcu 1945 r.

[Barbara Surzyńska-Zakrzewska:] To jest „mini-pamiętnik” mojego męża „Pierwszy dzień w Poznaniu” i zaświadczenie, które profesor Pollak napisał osobiście. Właściwie od tego się polonistyka po wojnie zaczęła.

Jak Pani wie, profesor Roman Pollak był rektorem tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich (czyli Uniwersytetu Poznańskiego) z siedzibą w Warszawie, z dwoma filiami – jedną w Kielcach, drugą w Częstochowie. Po wyzwoleniu Poznania Profesor upoważnił Bogdana Zakrzewskiego, aby ten gromadził księgozbiór i przygotował pomieszczenia na ulicy Stolarskiej, które przyznano polonistyce. To była dawna plebania obok zniszczonego kościoła św. Michała – pierwszy przyczółek powojennej polonistyki. Mam też dokument, w którym już jawne władze uniwersyteckie upoważniają męża, aby zorganizował bibliotekę Seminarium Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Poznańskiego.

Pamiętam to bardzo dobrze. Byłam jedną z pierwszych osób z polonistyki, tak jak i mój przyszły mąż. Mieliśmy w dawnej plebanii na pierwszym piętrze dwie małe sale wykładowe, dwa pomieszczenia dla asystentów i jeden mały pokój dla Koła Polonistów. W tym samym domu mieszkał znany potem profesor, mediewista, a wtedy jeszcze asystent, Gerard Labuda, który dbał administracyjnie o ten budynek.

Dlaczego dostaliśmy jako polonistyka plebanię na ulicy Stolarskiej? Otóż kościół św. Michała miał dwa poziomy: górny i dolny; górny był całkowicie zniszczony, natomiast w dolnym były ogromne, wielotysięczne zbiory książek. To były książki zwożone przez Niemców z pałaców i dworów polskich na terenie Wielkopolski, rzeczy bardzo cenne. Czy miały być zniszczone, czy wywiezione do Niemiec do jakiś badań nad stosunkami niemiecko-polskimi, tego nie wiem. Na uniwersytecie postanowiono, że o książkach, które będą miały ekslibrisy, należy powiadomić właścicieli, żeby je mogli odebrać, natomiast książki bez ekslibrisów zostaną włączone do biblioteki. Mój mąż był opiekunem tych zbiorów. Segregowanie książek to była straszna robota, bo w dolnym kościele było ciemno i zimno, prawie jak w pomieszczeniu piwnicznym. Wrażenie robiło to ogromne, taka ciemna przestrzeń pełna książek.

Część tych książek weszła do zbiorów Seminarium Historii Literatury Polskiej, wzbogacając zasób przedwojennej polonistyki (książki znalezione przez męża na Św. Marcynie). Do tego doszły książki przywiezione przez nas w skrzyniach z Częstochowy – biblioteka Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich. Prosiłam, żeby te książki z Częstochowy jakoś sygnalnie wyróżnić, jako historyczną pamiątkę – że należały do tajnego uniwersytetu, ale chyba tego nie zrobiono.



Akademickie Hufce Pracy, 1946.

Fot. ze Zbiorów specjalnych Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu.

Zajęcia na ulicy Stolarskiej, o ile mnie pamięć nie myli, rozpoczęły się na początku kwietnia, może później<sup>3</sup>. Zaczęły zjeżdżać nasze koleżanki z Częstochowy, z Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, które chciały ukończyć studia w Poznaniu. Skończyłyśmy tam, mój rok, mniej więcej trzy lata. Polonistyka przed wojną trwała cztery lata, więc miałyśmy jeszcze rok i kawałek do skończenia. Po wojnie na polonistyce wykładali: profesor Roman Pollak, profesor Zygmunt Szweykowski, profesor Waław Kubacki. Profesorowie Szweykowski i Kubacki mieli nominację na etat, który mieli objąć 5 września trzydziestego dziewiątego roku. Wiadomo, co się stało, te etaty stały się realne w czterdziestym piątym. Profesor Kubacki przyjechał z Częstochowy; profesor Szweykowski w czasie wojny wykładał w Warszawie, a po Powstaniu Warszawskim, podobnie jak prof. Pollak, też w Częstochowie. Teraz przyjechali do Poznania. Język staro-cerkiewno-słowiański wykładał profesor Szczepan Otrębski z Wilna. Tadeusz Grabowski już nie wykładał po wojnie, był emerytowanym profesorem.

Zawiązało się też Koło Polonistów, którego byłam prezeską. Kuratorem był profesor Pollak; zawsze przychodził nam coś doradzić, sugerować jakieś wykłady. Mieliśmy zebrania, na których były wykłady naszych kolegów, a potem dyskusje. Jednak zaraz po wojnie nie tylko działalność naukowa była ważna. Studenci byli biedni, „niedoubrani”, głodni. Widziałam, że niektórzy chłopcy „na głodniaka” przychodzili na zajęcia. Nie bardzo było wtedy co jeść, w czterdziestym piątym roku bardzo było ciężko o żywność. Przyszła mi do głowy myśl, aby zorganizować jakąś mini-stołówkę na Stolarskiej. Profesor Pollak się zgodził i mgr Labuda, jako opiekun gmachu, także: „oczywiście, jeśli to jest konieczne, jeśli ludzie mają paść z głodu, to niech lepiej coś zjedzą”. Koleżanki się zaangażowały, gdzieś tam poszukały trochę żywności. W pomieszczeniu na dole gotowałyśmy codziennie zupę. W południe każdy mógł przyjść i zjeść. Profesor Kubacki zawsze się śmiał: „wchodzi się jak do restauracji – najpierw zapach zupy, a potem dopiero studia”. Przez kilka miesięcy to trwało, aż powoli zaczęły się organizować studenckie stołówki.

Tu jest jeszcze taka notatka męża na temat warunków życia w Poznaniu: *Pod względem materialnym było bardzo ciężkie nasze życie asystenckie w Poznaniu przy studiującej żonie i pierwszym niemowlęciu. Trzeba było znaleźć jakąś pracę. Przyjąłem propozycję radia na felietony o nowościach wydawniczych. To była upiorna praca ze względu na wybór tekstów.* – Chyba chodzi o to, że był kiepski wybór tekstów.

---

<sup>3</sup> J. Maciejewski podaje, że zajęcia wznowiono po wojnie 23 kwietnia 1945 r. (*Dzieje poznańskiej polonistyki uniwersyteckiej 1842 – 1988*, Poznań 1992, s. 99).



Dawna siedziba polonistyki na ul. Stolarskiej, widok współczesny (fot. EL)

Koło Polonistów organizowało po wojnie różne atrakcje, np. andrzejki w „Bratniaku” na Św. Marcinie. Były występy kabaretowe, w których ja też uczestniczyłam. Niestety teksty zaginęły. Pewnie ze strachu zostały zniszczone, bo tam były różne polityczne wtręty. Ale największym osiągnięciem Koła Polonistów był wielki bal polonistów w Auli Uniwersyteckiej. W ciągu karnawału 1946 roku stwierdziliśmy, że po wojnie trzeba urządzić jakiś bal. No i urządziliśmy w Auli Uniwersyteckiej bal. Muszę powiedzieć, że szłam w pierwszej parze do poloneza z profesorem rektorem Stefanem Dąbrowskim, jako przedstawicielka młodzieży i Koła Polonistów. Potem była kolacja, na której był profesor Pollak, profesor Szweykowski, profesor Kubacki, mój mąż był i ja, i przedstawiciele Koła Polonistów.

Profesor Pollak zwracał uwagę na zachowanie profesorów poza uczelnią. Ja bym bardzo prosiła, żeby w tych wspomnieniach o Profesorze, o jego zasługach naukowych, organizacyjnych, żeby nie zapomnieć o nim jako o człowieku, o jego etyce wysokiej, i o tym, że zawód uczonego szanował. Uważał, że profesor uczelni wyższej powinien budzić szacunek wśród studentów; ma być dobrym nauczycielem, a poza swoimi zajęciami ma dawać dobry przykład. Mam wrażenie, że miał rację.

Gdy ja byłam prezeską Koła Polonistów, w zarządzie była jeszcze Anna Klajnówna i Franciszek Fenikowski, skarbnik. To był polonista, który mieszkał całą wojnę w Poznaniu i jak tylko powstała polonistyka, zaraz się zgłosił na studia, przemiły człowiek. Miał

zdolności literackie, potem po studiach przeniósł się do Gdańska, do Gdyni, tam należał do Związku Literatów Polskich, pisał całkiem udane powieści o tematyce morskiej. Jako student pisał dla nas dowcipne wiersze:

Wiceprezesko, obywatelko

W dzień Twej patronki, świętej Barbary,  
gdy cały Poznań rzeszą serc wielką  
u stóp ci składa życzenia dary  
Pozwól, że także ja tu w pokorze  
Przyobiecane wierszydło złożę.  
Tobie, co dumną zdeptałaś nogą  
Hodowców drobiu i pigularzy,  
Co pniesz się oto skalistą drogą  
Do najwspanialszych nauk ołtarzy.  
Niech odtąd, służą ci w przyjaźni szczerzej  
Wszelkie dyftongi, jacie i jery.  
[...]  
Na tym się kończy mój panegiryk.  
Wskutek wykładów epoki saskiej  
Zbankrutowany skarbnik i liryk,  
Widzę, jak gasną pieśni mej blaski,  
Więc bohatercko kończąc tyradę,  
Niby łzę gorzką, swe imię kładę.

Franek Fenikowski, w dzień św. Barbary, 45. roku

Profesor Pollak miał zwyczaj mówić: „Nie daje pani sobie rady na polonistyce, to niech pani idzie do pigularzy! Niech pani idzie do stomatologów, to są tacy lepsi rzemieślnicy”. Jak się zezłościł, że ktoś nic nie umie, to tak mówił. I dlatego on do tego nawiązuje.

Tu nadmienię tylko, że po moim mężu zostało dużo wierszy. Mąż należał przed wojną do stowarzyszenia studentów poetów. Gdy wrócił po wojnie do Poznania, napisał taki wiersz, pełen tęsknoty i nostalgii, witający Poznań. Miał go wygłosić na czwartku literackim, ale cenzura nie pozwoliła. W czterdziestym piątym, szóstym roku sporo wierszy męża było drukowanych w dodatkach literackich. Poza tym deklamowano je często w radio. Kiedyś szłam przez Rynek Jeżycki – szłam z Sołacza pieszo na Stolarską, bo wtedy jeszcze tramwaje nie jechały – a tu z megafonu wiersz męża deklamują. Wzruszające. Potem, gdy mąż zajął się pracą naukową, już przestał pisać, ale mi mówił: „jeśli się w młodości pisze wiersze, a potem



nawet przestanie, to ma bardzo dobry wpływ na styl, także prozy, wrażliwość zostaje”. Tu mam wycinek z przedwojennej gazety<sup>4</sup> – „Wieczór poetycki Bogdana Zakrzewskiego”:

*W dniu 19. bieżącego miesiąca w ramach wieczorów oryginalnej twórczości Koła Polonistów odbył się wieczór autorski Bogdana Zakrzewskiego. Już sama liczba zebranych słuchaczy świadczy o zainteresowaniu, jakie poezja Zakrzewskiego budzi wśród młodego pokolenia, zajmującego się sztuką. Po wstępnych słowach autora o jego stosunku do poezji pani Hanna Chrzanowska i Danuta Krzyżanowska recytowały szereg utworów, m.in. „Oczekiwanie”, „Mistyczny Przyjaciel”, „Misterium przyjezdnych”, „Dojrzewanie”, „Ballada o kotce i złym człowieku”. Poezja Zakrzewskiego jest subtelną liryką o dojrzałym, zdecydowanym obliczu. Poeta czerpiąc podniety twórcze głównie ze świata własnych przeżyć, daje w utworach sylwetkę swej osobowości, co w połączeniu z nowością metaforyki i świeżością figur poetyckich każe widzieć w młodym poecie dobrze zarysowujący się, odrębny talent. Potwierdziła to i ożywiona dyskusja, w której zabierali głos profesor Rudnicki i inni. (Zbyszko Bednorz)*



Gmach dawnego Collegium Philosophicum na ul. Matejki 48, widok współczesny (fot. EL)

Mieszkaliśmy potem na ul. Matejki, bo nasza polonistka ze Stolarskiej przeniosła się na Matejki 48, do Collegium Philosophicum. Przyjeżdżał wówczas na wykłady z Kórnika

---

<sup>4</sup> Być może jest to wycinek z „Głosu. Tygodnika Polskiej Myśli Narodowej”, tam m.in. w 1936 r. publikowano wiersze Bogdana Zakrzewskiego.

prof. Stanisław Bodniak, a był znany z tego, że nie nosił zegarka. Mówił: „Po co taki wynalazek? Ja sobie patyk do ziemi wkładam i wiem, która jest godzina”. Wykładał na pierwszym piętrze, a myśmy mieli, już po ślubie, mieszkanie służbowe na parterze. Gdy była przerwa w wykładach, schodził do mnie na dół na kawę. Często tak się zasiedziało, że się spóźniał na kolejny wykład, bo trudno było patyk do podłogi wsadzić... I dzwonek do drzwi: „Proszę Pani, przepraszamy bardzo, czy u Pani jest profesor Bodniak? Bo już jest pół godziny po rozpoczęciu wykładu, a jego nie ma”. Więc mówię: „Panie Profesorze, studenci przyszli, pytają, czy dzisiaj jest wykład”. „Ach, to ja mam wykład! No dobrze, idę na górę”. A profesor Pollak miał zajęcia po nim, więc jego wykład trwał już tylko piętnaście, dwadzieścia minut, bo musiał dać miejsce profesorowi Pollakowi.

Odwiedzała nas też często na ul. Matejki pani Stefania Land, która podczas wojny prowadziła tajne kursy uniwersyteckie w Częstochowie, a po wojnie wróciła do Poznania.

Jeszcze tak dla znajomości środowiska, powiem Pani krótko o księdzu profesorze Dettloffie, tym, u którego doktoryzował się Zdzisław Kępiński z Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich. Na Placu Wolności była kawiarnia uniwersytecka, tylko dla pracowników nauki. Ja tam też z mężem raz po raz na kawę chodziłam. I któregoś dnia powiesili w tej kawiarni portret Stalina. Nasz ksiądz profesor mówi do kelnerki: „A ten pan to po co tu wisi? To w ogóle nie jest otoczenie, w którym powinien przebywać jego portret”. Ona była donosicielką; do UB dała znać. Odbyło się wielkie zebranie młodzieży, która potępiła postawę społeczną prof. Dettloffa i wyrzucono go z uniwersytetu. Profesor Pollak wrócił z tego zebrania i do nas, do męża i do mnie, mówi: „no, koniec”. Na tym zebraniu zabrał głos student pierwszego roku i wygłosił płomienne przemówienie, potępiające profesora, profesora, który mógł być prawie jego dziadkiem, że jak mógł profesor, który piastuje taki urząd, takie stanowisko, tępić przywódcę narodu. Prof. Dettloff chyba znalazł się w Akademii Nauk, gdzie nie miał kontaktu z młodzieżą. Tego dokładnie nie wiem.

Mój mąż został dyscyplinarnie zwolniony z pracy, kiedy nasze dziecko miało niecały rok. Pamiętam, był taki upalny czerwcowy dzień, niedziela. Moja matka, mieszkająca w naszej willi na Sołacz, co niedzielę przyjeżdżała do nas na obiad, a w rodzinie była znana z niesłychanej punktualności. Tego dnia miała przyjść o pierwszej na obiad, ale nie przyszła. Mój mąż poszedł jej szukać do pani Jakubowskiej, mamy przyjaciółki. To była wdowa po przedwojennym pułkowniku, straciła dwóch synów w Powstaniu Warszawskim i została zupełnie sama. Mój mąż od niej nie wrócił. Okazało się, że w jej mieszkaniu UB zorganizowała tzw. kocioł. Ubzdurali sobie, że mąż pani Jakubowskiej wcale nie umarł przed wojną, że gdzieś żyje i urządza akcję zbrojną, aby obalić rząd ludowy, podobnie jej synowie.

Dzwoniłam na milicję; sztychli ze mnie, że niepokoję się o męża, a on pływa z panienkami łódkami na Solaczu. W mieszkaniu pani Jakubowskiej UB czekało przez trzy tygodnie, aż ktoś przyjdzie z organizacji. W końcu wszystkich powypuszczali, męża na ostatku, bo nie miał przy sobie dokumentów, co było wówczas przestępstwem. Ale panią Jakubowską aresztowali, zupełnie bezprawnie. Dziewięć lat w więzieniu siedziała, to była dzielna kobieta.

No i po tym fakcie mojego męża zwolnili z uniwersytetu. Właściwie to z powodu moich kontaktów rodzinnych. Pytali go, czy ma kogo za granicą. A mój ojciec był w Anglii. Jak usłyszeli, że przed wojną był wicemarszałkiem sejmu<sup>5</sup>, to męża zwolnili bezpardonowo. I wtedy było ciężko, nie mieliśmy z czego żyć. Ja pracowałam w Instytucie Badań Literackich, ale wyłącznie na zlecenia, nie na etacie. To w ogóle nie wystarczało do życia. Z ojcem nie mieliśmy kontaktu, poczta nie dochodziła, dopiero po paru miesiącach przyszła jakaś pomoc z Zachodu.

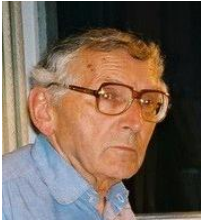
W 1952 roku profesor Mikulski zatrudnił męża na polonistycę we Wrocławiu. Przez rok mąż dojeżdżał do Wrocławia na wykłady, ale bardzo źle znosił te dojazdy. W 1953 roku przeprowadziliśmy się do Wrocławia całą rodziną. Profesor Pollak nie mógł się rozstać z moim mężem i jak za synem za nim tęsknił. Odwiedzał nas, przyjeżdżał zawsze razem z Profesorową. Cieszył się, jak kolejne dzieci się rodziły, bardzo się nimi interesował. Potrafił z dziećmi rozmawiać i one zawsze czekały na jego przyjazd. Był w naszej rodzinie trochę na prawach dziadka, bo znał się z moim ojcem od dawna. Po pierwszej wojnie światowej była w Poznaniu podchorążówka i profesor Pollak miał tam przez kilka lat wykłady z literatury polskiej dla oficerów, a mój ojciec wykładał higienę. Stamtąd się znali.

Myśmy z mężem przeżyli razem 63 lata. Jak na dzisiejsze stosunki, to dosyć długo, prawda? I gdybym mogła, to bym to jeszcze raz powtórzyła, ale niestety nie mogę. Od listu na Alei Marii Panny się zaczęło<sup>6</sup> i od skrzyń z książkami z biblioteki tajnego uniwersytetu...

---

<sup>5</sup> Leon Surzyński (1891-1967) – pochodzący ze znanej wielkopolskiej rodziny kompozytorów, bratanek odkrywcy muzyki staropolskiej, ks. Józefa Surzyńskiego - poseł na sejm, lekarz, dyrygent chórów, działacz emigracyjny. Przed wojną był wicemarszałkiem sejmu ostatniej kadencji, stał na czele Komisji Spraw Zagranicznych. Podczas wojny przebywał na Bliskim Wschodzie, następnie pracował jako lekarz w Johannesburgu. W 1945 r. osiadł w Anglii, był prezesem polskich lekarzy w Londynie. Krótco przed śmiercią odwiedził Polskę, m.in. Poznań, gdzie przed ratuszem witały go uroczyście chóry wielkopolskie.

<sup>6</sup> List B. Zakrzewskiego z Poznania do R. Pollaka w Częstochowie informujący o możliwości rozpoczęcia studiów na ul. Stolarskiej w Poznaniu. Pani Zakrzewska mówi o tym w części wspomnień poświęconych Tajnemu Uniwersytetowi Ziemi Zachodnich.



Bogdan Zakrzewski, mąż Barbary Surzyńskiej, ur. w Poznaniu w 1916 r., zmarł we Wrocławiu w 2011 r. Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, badacz romantyzmu, szczególnie twórczości Aleksandra Fredry. Był absolwentem polonistyki Uniwersytetu Poznańskiego, prezesem Koła Polonistów przed II wojną światową. Po wojnie jako asystent prof. Romana Pollaka współtworzył poznańską polonistykę, pracował na Uniwersytecie Poznańskim do 1952 r.

*(Oprac. Elżbieta Lijewska)*